Rok I. Kwiecień — Maj 1933. Numer 6. — 7.

NAD POZIOMY

Miesięcznik młodzieży Państwowego Gimnazjum w Chrzanowie

Cena 30 gr. WYCHODZI 2 KAŻDEGO MIESIĄCA. Cena 30 gr.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny:	Dyrektor Zarządu:	Redaktor Naczelny:
Prof. Dr. Zdzisław Krawczyński	Abit. Tadeusz Słowik	Kol. J. Muszyński.

KTO MA RACJĘ?...
(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY).

Często mówi się i pisze dzisiaj na łamach prasy perjodycznej dla młodzieży o dwóch pokoleniach działających na arenie życia współczesnego, o bezproduktywnym niby starem pokoleniu i „twórczej“, pełnej entuzjazmu do życia „latorośli“—młodzieży. Rozgorzała polemika, zbyt może wybujała, która z jednej strony bezwzględnie potępia i rzuca gromy na pokolenie starsze, a z drugiej strony wyolbrzymia znaczenie młodych. W imię świętej prawdy historycznej należy potępić te wielkie rozbieżności w poglądach jednych i drugich.

„In medio virtus“ — powiada stara a zarazem jakże nowoczesna maksyma. W środku cnota, w środku prawda, należy więc środek ten znaleźć i wytyczyć zasady kompetencji starszego i młodszego pokolenia. Czy słusznem jest twierdzenie, że między starszem a młodszem pokoleniem istnieją kolizje, że my a nasi wychowawcy i rodzice tak bardzo się różnimy, że nas nic nie łączy wzajemnie? Rodzice i dzieci — są to właściwie dwa odrębne światy, żyjące i dojrzewające w zupełnie odrębnych warunkach życiowych politycznych i społecznych.

Z jednej strony pokolenie starsze, wychowane w atmosferze niewoli, powstań zbrojnych i konspiracyjnych zmagań się z zaborcami, którego najświętszym celem życia było wywalczenie niepodległości, a więc istoty tego, co wchodzi w zakres państwa i narodu.

I dzisiaj to wszystko się potępia jako nieaktualne. Potępia się romantyzm, a rozpaczliwe wysiłki powstańców nazywa się „romantycznem zmaganiem się garstki „Szaleńców“ z trzema zaborcami“. Nie możemy jednak potępiać jako bezproduktywnych ludzi starszego pokolenia, którzy wykuli nam wolność których cechowała i cechuje miłość ojczyzny i gotowość do złożenia na jej ołtarzu krwi i swego życia. Nikt nie wątpi, że i młode pokolenie, które wyrasta w epoce powojennej, zdolne jest do równie wielkich porywów i szlachetnych poświęceń w obronie ojczyzny ale co innego jest mówić o bohaterstwie wojennym w czasie pokoju. Nie wiadomo, czy niejeden napozór silny charakter nie załamałby się psychicznie w ogniu armat i pocisków. To raczej powinno nas młodych jednoczyć z pokoleniem starszem, powinniśmy, jako spadkobiercy ich czynu, darzyć ich nieograniczoną miłością i wdzięcznością. W tak pojętym stosunku możemy dopiero tworzyć nowe ideały i cele, dostosowane już do bytu państwowego.

My młodzi jesteśmy wychowywani już nie pod batem zaborców lub w niepewnej atmosferze wojennej. Jesteśmy tworami epoki nowej, której znamieniem jest praca. Nie potrzebujemy już walczyć o niepodległość. Musimy ją tylko ugruntować. Niema więc powodu do kolizji między nami a pokoleniem starszem. Ci dali nam państwo, my poprowadzimy dzieło jego odbudowy.

Hasłem pokolenia starszego bywał chwilowy ale zato bohaterski wysiłek, ideałem naszym natomiast praca mrówcza, skonsolidowana społecznie, która w ten sposób pojęta może być celową i wartościową.

Starsze pokolenie tworzyło tajne, konspiracyjne związki, o strukturze niepodległościowej, pokolenie młode tworzy silne organizacje o charakterze ogólno—ludzkim, organizacje wszechstronnie kształcące umysł i ciało człowieka.

Wspomnę tylko pracę takiej organizacji, jak harcerstwo, które poza pracą nad sobą, wiele energji po-

święca pracy społecznej i filantropijnej.

Inne więc są ideały i inne zainteresowania dwóch ścierających się światów. A jednak uważam, że porozumienie jest możliwe i konieczne. Potrzeba tylko dobrej woli tak z jednej jak i z drugiej strony.

(Jest to tylko krótki szkic, który w dyskusji powinien być rozszerzony i pogłębiony. Prosimy na ten temat nadsyłać uwagi ewentualnie przeciwne zapatrywania.)

T. Słowik.

Pieśń o potoku
(na nutę czardasza)

Leci, huczy wartki potok wśród zielonych hal
I pieśń odwieczną w szumie swoim gra,
W duszy człowieka dziwny wstaje żal,
Dzika tęsknota łka......
I wspomnień rój
Z ubiegłych lat
Wiedzie go w swój
Czarowny świat,
Wśród złotych snów
Zakwita znów
Młodzieńczej wiary cudny kwiat.
A bystry potok mknie i mknie, } bis
Kosodrzewiny bryzga pnie . . . . }
Po turniach płyną zwały chmur,
I groźnie sterczą szczyty gór,
Duszę porywa czardasz—szał!
Muzyka wiatru, wòd i skał.
Jeziora cicha pobłyskuje toń
I kwiatów halnych rozwiewa się woń,
Wiatr myśli niesie gdzieś na świata kraj,
Bo wicher i czardasz—to bracia dwaj!
Na uboczy pod chmurami dzwonią dzwonki trzòd
I lśnią się owce niby pereł sznur,
Echo rozgłośne grzmi juchaskich nut,
Cudowne echo gòr....
Pasterzy śpiew
I owiec bek
Wprawiają krew
W gorętszy bieg,
Tchną w serce moc,
Spędzają noc,
I płoszą mrok co w duszy legł.
A bystry potok mknie i mknie
i t. d.

O. S.

Polskie aeroplany.

Grzmiącym hymnem motorów wypełniły przestrzeń.
Z trwożliwym podziwem trzęsącego się świata
Pruje niebo potężna piersią brać skrzydlata
I dumą o Ikarze zagrało powietrze.

Widać słoneczne skrzydła, chylą się na wietrze
Nad miastem huf stalowych rumaków przelata
Z ptakami się do lotów podniebnych pobratał
Wrogie siły żywiotów w proch zwycięstwem zetrze.

Niewiem dokąd lecicie o aeroplany?
Głos wasz wpada mi w uszy jak zaklęcia słowo
Tak bliski mi w przedwiośniu dzieciństwa poznany.
Kiedy znikniecie wyglądam nieraz napróżno
Słucham czyli nie zagrzmią cztery świata ściany
Pieśnią mojej ojczyzny, pieśnią mocarstwową.

LOS, SZCZĘŚCIE I PRZEZNACZENIE.

Doroczny „tydzień L. O. P. P." obchodził Kraków bardzo uroczyście. Clon tygodnia stanowiła wielka loterja fantowa i loty pasażerskie. Któżby nie chciał urzeczywistnić ikarowych marzeń i poszybować hen— ponad chmury, by patrzeć na ziemię „okiem słońca". Wybrańców losu było jednak niewielu. Sama chęć nie zawsze wystarcza, a mało kto z chętnych mógł sobie pozwolić na zapłacenie wysokiej stosunkowo opłaty za lot. „Szczęście jest lepsze niż pieniądz" — mówi przysłowie — a jednak jak zawodne, niechaj za dowód posłuży niniejsze opowiadanie.

* * *

...... Losowanie miało się ku końcowi.

— Proszę państwa — mówił kierownik loterji, uciszywszy ruchem ręki publiczność, rozgorączkowaną w swej „żyłce" hazardu — wylosujemy numer losu, którego szczęśliwy posiadacz będzie mógł bezpłatnie odbyć lot nad Krakowem. — Zanurzył rękę w urnie pełnej losów.

W tej chwili nie było napewno nikogo takiego wśród zebranych, ktoby zwątpił w swe szczęście. Słychać było tylko szelest karteczek, a każdy z ciekawością oczekiwał chwili ogłoszenia wyniku.

— Któryż ja mam numer? — pomyślała jasnowłosa seminarzystka — (po znaczku na czapce sądząc: z seminarjum św. Rodziny) — Acha, 1810, no, napewno wygram...

— Tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt, tys... — powtarzał niestrudzenie w myśli jakiś siódmoklasista, jak-

Oświęcim - Tczew.

(Z biegiem Wisły na kajaku.)

(ciąg dalszy).

Tuż za Zawichostem kończy się regulacja Wisły. Łożysko wynoszące dotąd najwyżej 200 m, dochodzi często do szerokości 1 km. Zawichost to kres wędrówki dla galarów z węglem. Dalsza regulacja Wisły zaczyna się dopiero kilkanaście kilometrów przed stolicą Pomorza, Toruniem. Statki spotykane przez nas na tej przestrzeni uprawiały istną akrobatykę wodną kiedy w poszukiwaniu głębokiej wody wykonywały nagłe do 90° nieraz dochodzące zwroty. Za Annopolem, nudny dotąd krajobraz nagle się zmienia. Wisła toczy teraz swe wody między wysokiemi białemi wzgórzami. Są to tak zwane „góry pieprzowe“ o niewielkiej wysokości wchodzące w skład wyżyny małopolskiej. Mijamy Józefów, niewielkie miasto zniszczone przez wojnę, dotąd jeszcze całkowicie nie odbudowane. Wieczorem zbliżamy się do Kazimierza. Miasto o wyglądzie letniska, leży w małej kotlinie po prawym brzegu. Na zboczach otaczających go wzgórz widać wspaniałe wille i pensjonaty jakich nie wstydziłoby się Zakopane czy Krynica. Piękne kościoły stare budynki pokryte rzeźbami skupiają się dookoła rynku opadającego łagodnie w stronę Wisły. Na jednym ze wzgórz stoi stary zamek z walącą się basztą, w której miał zginąć skazany przez Kazimierza W. na śmierć głodową buntownik Maćko Borkowicz. Po przeciwnym brzegu na tle białych wzgórz rysują się potężne ruiny Janowca, niegdyś letnia siedziba króla St. Augusta Poniatowskiego. Następny dzień to niedziela. Udajemy się na ranne nabożeństwo. Po nabożeństwie czynimy kilka zdjęć, a zwłaszcza starych spichrzów Kazimierzowskich. Walcząc z przeciwnym wiatrem zwolna zbliżamy się do Puław, dawnej siedziby kś.kś. Czartoryskich. Mijają nas statki z warszawskiemi wycieczkami, liczne motorówki i żaglówki. Uwagę naszą zwraca olbrzymi nowobudujący się most żelazny. Zatrzymujemy się pod jednym z filarów i na zmianę po dwóch udajemy się do miasta. Pierwsze swe kroki kierujemy w stronę parku i znajdującego się w nim pałacu Czartoryskich, obecnie siedziby „Państwowego Instytutu Doświadczalnego“.

Na wstępie do parku podziwiamy piękną, jakkolwiek nieco zaniedbaną świątynię. Szerokie cieniste aleje dają możność dokładnego zwiedzenia pięknego zakątka. Oglądamy różnorodne drzewa, ozdobne krzewy, podziwiamy potężne rozłożyste lipy, ozłocone lipowym kwiatem. W środku parku na niewielkiem wzniesieniu stoi pałac. Olbrzymi to biały trójskrzydłowy budynek, miłe dla oka czyni wrażenie swą harmonijną i proporcjonalną budową.

Szeroki dziedziniec ozdobiony różnokolorowymi klombami, piękny wodotrysk, liczne statuły marmurowe dopełniają widoku. Zwiedzamy między innemi pokój, w którym przebywał często, jak nas objaśniono, nasz narodowy bohater Tadeusz Kościuszko. Słońce wskazywało późne południe, kiedy zdecydowaliśmy się odjechać. Z żalem opuściliśmy sympatyczne Puławy i żegnani przez miejscowych harcerzy, odpływamy z zamiarem dobicia jeszcze przed wieczorem do starej twierdzy, Dęblina. Jednakże kilka kilometrów przed celem zerwał się niezwykle gwałtowny wiatr tak, że w obawie przed wywróceniem łódek jazdę przerywamy i chronimy się w rowie wysokiego brzegu.

W nocy przesuwały się nad nami kilkakrotnie nawałnice z piorunami, przerywające nam ciągle upragniony sen. Nad ranem wiatr ustał zupełnie, Wisła uspokoiła się, odpływamy więc przed świtem. Dęblin mijamy bez zatrzymywania, co spowodowała gęsta mgła niedozwalająca nam dobić do brzegu ani zoba-

---

by chciał w ten sposób zbliżyć rękę wybierającego do swego numeru.

Szczęście jest jednak kapryśne. Srogo się rozczarowała jasnowłosa seminarzystka od św. Rodziny i student siódmej klasy. „A to pech“ pomyśleli oboje naraz i niejeden z zebranych usłyszawszy wylosowany numer 1313.

Ktoś zdążył zauważyć, że chociaż raz „trzynastka“ nie okazała się feralną. Dziwiło trochę „panów z komitetu“ loteryjnego, że posiadacz szczęśliwego losu nie zgłosił się do odbycia bezpłatnego lotu. Wiedzieli bowiem, że los z takim numerem sprzedano.

— Co za niesprawiedliwość — skarżyła się przed swemi koleżankami seminarzystka — wygrywa właśnie ktoś taki, komu na tem w cale nie zależy...

— Hm! — myślał student — kto nie ma szczęścia w grze, ten musi mieć szczęście w miłości — i pogładziwszy z dumą swój wielce obiecujący „plac pod wąsy“, rzucił zabójcze spojrzenie w stronę jasnowłosej...

* * *

— Proszę pana — zwrócił się z ukłonem jakiś młody, przystojny człowiek do komendanta lotniska rakowickiego — ... przed kilkoma dniami wygrałem na loterji, podczas „tygodnia lotniczego“, kartę na przelot samolotem. Nie mogłem jednak skorzystać z okazji, ponieważ nie było mnie wtedy na lotnisku. Mój numer 1313. Właśnie chciałem prosić pana majora o danie mi sposobności na odbycie lotu. — Dowódca lotniska poruszył z początku przecząco głową, poczem przez kilka minut starał się przedstawić swemu gościowi niebezpieczeństwo podobnej wycieczki.

Młodzieniec umiał jednak tak prosić, że złamał

czyć miasta. Bliskość miasta oznajmiły nam huczące nad nami ćwiczące samoloty wojskowe. Tymczasem wiatr rozpoczął na nowo swe harce, skupiamy uwagę na utrzymaniu równowagi. Stopniowo ze wschodem słońca zwolna uspokajał się swawolny wiatr. Otaczające nas opary ustąpiły, odwracamy się i patrzymy w stronę Dęblina a przedewszystkiem na kołujące nad nami i wykonywujące mrorzące krew w żyłach ewolucje samoloty. Zmęczeni, niewyspani postanawiamy odpocząć, ale w dość oryginalny i niebezpieczny sposób. Mianowicie odpinamy żagle i ster, umieszczamy się na dnie łódek, a te puszczone wolno, płynąc to przodem to tyłem, obijając się o brzegi, czyniły na patrzących na nas rybaków wrażenie „niezamieszkałych“. Obudziło nas silne gorąco. Było południe. Zatrzymujemy łódkę i witamy towarzyszy, którzy, na szczęście, płynęli za nami w odległości 300 m. Patrzymy na najbliższy słup z kilometrami i ku niemałemu zdziwieniu przekonywujemy się, że przez 7 godzin snu ujechaliśmy „aż“ 9 km..

Zwalamy to na karb „samowoli“ naszych „statków“. Po kąpieli odświeżeni płyniemy raźno i mimo 7-mio godzinnej drzemki robimy53 km. Pod wieczór wyciągamy łódki na piaszczystej wydmie. Po kolacji trzej towarzysze wsuwają się pod namiot. Mnie los przeznaczył pierwszego na półtoragodzinne „milczenie„ i wytężanie wzroku w ciemność. Na północy jaśniała olbrzymia łuna nad sercem Polski Warszawy, którą mieliśmy nazajutrz zobaczyć poraz pierwszy.

c. d. n.



Dzieje zamku tenczyńskiego.

Trzy mile na zachód od Krakowa a 5 km. na południowy zachód od Krzeszowic w powiecie Chrzanowskim króluje wśród przepięknych lasów i pagórkowatej okolicy bielejącej tu i ówdzie wapieniami Jury krakowsko—wieluńskiej urocze zwalisko potężnego grodu Tęczyńskich. Okazałe mury, wznoszące się ku górze baszty i bastjony, dziś niestety poszarpane rębem czasu i niszczycielską ręką profanów, robią wrażenie nieśmiertelnego pomnika minionych wieków. Mury są porosłe o dziwnych kształtach krzewami i sosnami. Wybór miejsca był bardzo korzystny pod budowę zamku. Góra, która dźwiga na szczycie chlubę minionych pokoleń, dominuje nad całą okolicą swą wysokością 403 m. n. p. m. Od strony północnowschodniej jest strome zbocze góry a przez to trudne do zdobycia, zaś zbocze zachodnie jest łatwe do zdobycia i dlatego też było wzmocnione wałami i palisadami przygródka, a przez to zamek był nietylko grodem, ale warownią. Założenie zamku odpowiadało w zupełności wymogom fortyfikacyjnym współczesnej strategji. Niedostępność terenu, na którą się składało najwyższe wzniesienie, możliwie odosobnione, o jaknajwiększym widnokręgu wzmocnione fosą suchą lub wodną, było zasadniczemi wymogami, które musiały mieć w całej pełni zastosowanie, by można było mieć nadzieję na powodzenie wojenne. Ta taktyka fortyfikacyjna zmieniła się od momentu zastosowania dział w kierunku wprost przeciwnym, a swoje uzasadnienie ma w tem, że pierwotnie grody były obroną przed

---

w końcu upór pana majora.

* * *

Porucznik Skałka był bardzo pilnym lotnikiem. Nie wystartował nigdy, żeby przedtem nie zbadać dokładnie całej swej maszyny. Dzisiaj jednak nie miał do niczego ochoty. Czyżby go dotknęło jakieś niepowodzenie życiowe? A może tylko tego ranka „wstał lewą nogą z łóżka“... Zmienił się humor porucznikowi, kiedy mu doniesiono, że ma z nim lecieć jakiś „cywil“ — śmiałek. Jął więc czynić pobieżny przegląd swego samolotu.

— Wacławski jestem — przedstawił mu się jegomość przyprowadzony przez ordynansa z kancelarji komendanta — wygrałem bezpłatny bilet i podobno z panem mam lecieć.

— Świetnie — podchwycił Skałka — właśnie lecę. A zanim pan tu przyszedł, miałem głupie przeczucie. Wie pan zapewne, że my lotnicy jesteśmy zabobonni. Otóż wychodząc z domu, spotkałem mego przyjaciela, cywila tak jak pan, — tu pogardliwie ruszył wąsikami — któremu powiedziałem, że dziś lecę. „Szczęśliwej podróży“ rzucił mi przy rozstaniu. Wie pan co to u nas lotników oznacza? No „łagodną śmierć“... Ale we dwójkę to widzi pan, jakoś to zawsze raźniej. Najwyżej jak spadniemy to obaj, a mówię panu co to za „łagodna śmierć“, paluszki lizać, ani pana potem rodzony dziadek nie pozna...

Rozgadał się na dobre i tak „zachęcająco“ opowiadał, że Wacławski nie mając wcale zamiaru tak „łagodnie zejść z tego świata, nie bez obawy wsiadał do samolotu i przypasywał się do ciasnego siedzenia.

— To dla bezpieczeństwa, — uspokajał Skałka — żebym pana nie zgubił po drodze.

bronią białą i palną mało kalibrową nazywając ją językiem dzisiejszym, zaś z wprowadzeniem dział do walki, taktyka ta nieco zmieniła się, ponieważ wielkie przedmioty ułatwiały wycelowanie przez swą widoczność, a wielkość kalibru już nie była wrażliwą na fosy i palisady. Odtąd więc zamki obronne buduje się w miejscach osłoniętych i niskich. W Polsce ten zwrot zaczyna się od bitwy pod Grunwaldem 1410, jest on więc grubo późniejszy od „Zamku Tęczyńskiego“ i dlatego nie dotyczy tego ostatniego. Bliskość stolicy państwa i granicy, wymagała specjalnych wzmocnień, stąd też Kraków był otoczony całym wieńcem warownych zamków. Wystarczy wspomnieć o Lanckoronie, Barwałdzie, Oświęcimiu, Zatorze, Skawinie, zaś po przeciwnej stronie o Pieskowej Skale, Rabsztynie, i Smoleńsku, aby sobie uprzytomnić znaczenie Tęczyna w kolisku warowni na przedpolu stolicy. Rozmiary i architektura zamku świadczy, że zamek ten od samego początku przeznaczony był na twierdzę.

Pod względem form architektonicznych i przystosowania obronnego, zamek tęczyński jest podobny do typu zamków południowo niemieckich, które są ściśle przystosowane do terenu dosyć górzystego. Zamku nie otaczała rzeka ani nawet potok; obroną jego były silne mury i głęboka fosa. Z ruiny, jaką się stał w r. 1768, dotychczas zachowała się część baszty, ale rozkład budowli można łatwo rozpoznać. Podanie mówi, że około roku 83o po Chrystusie przybył w te strony pewien rycerz, imieniem Tynek, z rodu Starzów, z dwoma córkami: Tęczą i Przeginią i tutaj się osiedlił. Tynek krótko żył, a po śmierci jego córka Przeginia założyła własną siedzibę w pobliżu Krakowa, w dzisiejszej Przegini Duchownej, zaś córka młodsza Tęcza, postanowiła pozostać w przepięknej okolicy, którą bardzo polubiła. Od jej imienia pochodzi nazwa dzisiejszego Tenczynka. Zbudowała tutaj zamek i został nazwany Tęczynem. Po śmierci obu siòstr, zamki te przeszły na własność ich stryja Tarły. Tak miało być według tego mitycznego podania. jednak pewne oparcie ma, o czem świadczy nazwa „Starzy“, jaką spotykamy w zapiskach Konsystorza diecezji krakowskiej, a którą to mianowano Tęczyn zamkowy i Tęczyn parwa, czyli dzisiejsza wieś Tęczynek.

Wkrótce ród ten rozpadł się na wiele gałęzi, które przenosiły swe siedziby w dalsze strony i powracały pewne zmiany swoich znaków. Pozostałej tej części całe życie koncentrowało się w Morawicy odległej od Tyńca 7 $1/2$ km., posiadała wielki obszar ziemi górzystej, lesistej, między Czernichowem nad Wisłą a Krzeszowicami.

Las ten nazywał się wówczas Tęczyn, jak o tem świadczy nadanie przy Przegini a więc zdala od zamku Tęczyńskiego przez Nawoja z Morawicy w r. 1319 niejakiemu Lędowi swemu wiernemu słudze do wytrzebienia dla założenia wsi na prawie magdeburskiem, obdarzając go za ten trud dziedzicznem sołtystwem w przyszłej osadzie. Akt lokacyjny został dokonany w Krakowie, 15 sierpnia 1319 r. i podpisali go dwaj Toporczykowie, Piotr chorąży krakowski i Grzegorz z Pizar. Dokument Władysława Łokietka dla klasztoru w Sulejowie, datowany 24 listopada 1308 świadczy, że Łokietek obozował w lasach tych, gdy prowadził walkę z Henrykiem, księciem głogowskim. Budowę zamku zaczął prawdopodobnie Nawój z Morawicy herbu Topór, który był kasztelanem krakowskim a synem Żegoty, także kasztelana krakowskiego za panowania Leszka Czarnego (1279—1289). Wybudował w r. 1319 wieżę, która była przeznaczona na cele obronne a później została zwaną wieżą „Nawojową“ i ona przetrwała do dzi-

---

Zaturkotał motor, błysnęło w obrotach śmigło; samolot ruszył. Ziemia zdawała się uciekać z pod kół aparatu, a Wacławski miał wrażenie, że go coś z olbrzymią siłą przygniata do siedzenia.

* * *

Ponad Krakowem krążył stalowy ptak, lśniący tęczą złotych promieni słonecznych. Wacławskiemu zdawało się, że śni..., bo też i Kraków wyglądał jak miasto z bajki...

... Ojciec, dumny Wawel, czuwał z pagórka nad swem miastem. Matka — wieżyca Marjacka, lśniła powagą złotej korony i chełpiła się wielkością przed swą młodszą siostrzycą — Ratuszową, strażniczką prastarej stolicy piastowej. A hejnał marjacki trjumfalnie wzbijał się pod niebo urywanym hymnem bojowym...

I oto przed oczyma Wacławskiego, przesunęła się świetna karta historji „Polskiego Rzymu“.

Wtem oczy jego porwały nowe widoki: wieś podkrakowska. I widział łany zbóż falujących i pastwiska, a zdawało mu się, że słyszy porykiwanie bydła, ujadanie psów pośród chałup wiejskich i smętne melodje pastuszków, wygrywane na fujarkach.

* * *

Licznik aparatu Skałki wskazywał przepisaną ilość kilometrów; czas, więc było wracać. Tam w dole — długą i szeroką wstęgą — srebrzyła się Wisła.

Nagle — a może to tylko przywidzenie. — zaczęło się zdawać Wacławskiemu, że z motorem coś nie w porządku. Po chwili cały samolot zaczął konwulsyjnie drżeć. Aparat pracował ciężko; motor wył

siaj, zaś obecnie jest trochę odrestaurowana i pokryta dachem. W tej wieży były bramy, które prowadziły do przygródka. W północno wschodniej części w samym narożu widnieje okrągła wieża zwana Dorotą. Według Niesieckiego nazwa pochodzić miała stąd, że w tej wieży mieli Tęczyńscy trzymać jedną ze swego domu, której było na imię Dorota, za jakieś przestępstwa. Jest to prawdopodobnie taki sam mit etymologiczny jak wywód nazwy Tęczyna od Tęczy. Chociaż już w tenczas znaną była kara wieży „poena turris“, która jednak szersze zastosowanie znalazła dopiero w XV wieku w sądownictwie polskiem. Do tej wieży Nawojowej Jędrzej, syn starszy Nawoja, który był wojewodą krakowskim dobudował dalszą część, ukończoną ostatecznie w r. 1332, jak podaje Niemcewicz w swej historycznej powieści p. t. „Jan z Tęczyna“. Tu też on pierwszy wraz ze swoim dziedzicem z Morawicy zamieszkał i umarł w roku 1368. Syn jego Jaśko z Tęczyna rozbudował zamek w szerz dawnemi gmachami i odnowił. Jaśko z Tęczyna założył prawdopodobnie w Tęczynie o ćwierć mili od swego zamku kościół parafjalny, a dla odróżnienia nazwał go „Tęczynem parva“ od Tęczyna zamkowego. Tak Tęczyn Wielki, jąk i Mały, jak to już poprzednio zaznaczyłem, miały wspólną nazwę „Starza“. Obydwa Tęczyny leżą w pobliżu siebie i są tylko rozdzielone kawałkiem lasu.

W wieku XVI dokonali Tęczyńscy licznych przeróbek budowli zamkowych, któremi napełniali wnętrze zamku, a także jego zbocza. Gruntownej przebudowy zamku dokonał Jan Tęczyński kasztelan wojnicki, starosta lubelski, wreszcie podkomorzy koronny.

Jaśko z Tęczyna umarł 28 października w r. 1407. W r. 1553, a więc jeszcze przed przebudową zamku, podzielili się nim i dobrami: Andrzej Tęczyński, wojewoda lubelski i starosta bełski, rohatyński i śniatyński, oraz Stanisław Tenczyński, kasztelan lwowski, starosta lubelski i bełski. Po bitwie pod Grunwaldem 1410 r. 15 lipca, w której Władysław Jagiełło (1386)—1434) odniósł świetne zwycięstwo, osadzono tutaj krzyżackich jeńców. Zanim Agnieszka Firlejowa założyła kaplicę, to już na zamku była kaplica pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P. i świętego Jędrzeja apostoła. Kaplica ta miała swojego prelbendarza, który na wniosek panów na Tęczynie bywał mianowany przez biskupa krakowskiego.

Później przebudowy zamku dokonał w r. 1570 Jan Tenczyński, kanclerz wojnicki i podkomorzy wielkokoronny. O nim to pisze Paprocki w „Herbach Rycerstwa“ polskiego, „że wielkim kosztem wymurował prawie na nowo zamek na Tęczynie, z mułu i prochu starego otarł, pracą ozdobił jego czoło, mury i wały otoczywszy“. Był to ten Tęczyński, który dopędził na granicy Śląska uchodzącego z Polski w r. 1574 Henryka Walezego i on to usilnie go do powrotu do Polski błagał. Jan Tęczyński umarł w 1593 roku bezpotomnie. Około zaś r. 1610 Agnieszka z Tenczyńskich wdowa po Firleju, siostra ostatniego pana na Tęczynie, stale w tym czasie przebywająca założyła na zamku w Tęczynie obok wieży Nawojowej, na ruinach zapewne kaplicy starej zamkowej, nową wspaniałą. Kaplica ta była zbudowana w stylu gotyckim, do wnętrza jej prowadziły dwa przejścia z wieży Nawojowej i boczne ze schodów od dziedzińca wewnętrznego. Drzwi do kaplicy były obite grubą blachą i żelaznemi prętami. Oświetlona była ośmioma okrągłemi oknami. Główny ołtarz jak i sama kaplica były pod wezwaniem N. M. P. Obok tego ołtarza po obu stronach były stalle. Drugi ołtarz od południa św. Antoniego, trzeci gotycki św. Ignacego a czwarty na bocznym chórku, gdzie był obraz Pana Jezusa cierniem uwieńczonego. Ten ostatni oł-

---

i dyszał jak zwierzę na zagładę prowadzone. Wacławskiego poczęło ogarniać przerażenie.

— Może przetrzyma — pomyślał Skałka. —

— Rany Boskie! — wykrztusił przez zaciśnięte zęby Wacławski.

Jeszcze raz zawył motor i oniemiał a śmigło coraz wolniej, wolniej aż stanęło. Nagły wstrząs oprzytomnił lotników. Straszna rzeczywistość stanęła przed oczyma Skałki. Niema ratunku — za nisko na spadochron!...

— W Imię Ojca i Syna — przeżegnał się Skałka.

— Matko! — jęknął Wacławski.

Froraach!!!

Samolot runął na plażę nadwiślańską. Zbiegli się ludzie. Wydobyto lotników; nie, — lotnika Skałkę i zmiażdżone zwłoki Wacławskiego.

* * *

Następnego dnia ukazała się wzmianka w dziennikach krakowskich: ... tak to ś. p. Wacławski odbył ostatnią ziemską podróż — za darmo... Pilota porucznika Skałkę, u którego skonstatowano złamanie nogi, przewieziono do szpitala wojskowego.

Sic fata tullerunt!...

Krakowski Adam
Kl. VII. c.

tarz był zamykany drzwiami, na których widniały wizerunki: św. Józefa i św. Barbary. Nad głównemi drzwiami był chór z organami. Do kaplicy od południa przypierały sale przepiękne, oprócz tego zakrystja i skarbczyk.

(c. d. n.)

Drozdowski Zdz. VI.

KRONIKA.

W sobotę dnia 1 kwietnia odbyło się w auli gimnazjalnej ogólne zebranie uczniów w celu założenia Koła Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża. Było to zebranie informacyjne. Przemówienie o znaczeniu Kół Młodzieży P. C. K. i o organizacji tychże wygłosił Tadeusz Słowik, VIII a. Nowopowstałe Koło zostało utworzone dzięki inicjatywie p. Dyrektora St. Zbierskiego i p. prof. Romana Lewickiego. Koło liczy obecnie około 30 członków.

Dnia 6 marca pod przewodnictwem p. prof. dra Krawczyńskiego grupa złożona z 27 uczniów, urządziła wycieczkę naukową na Górny Śląsk. Zwiedzono dokładnie Chorzów z ogromną fabryką związków azotowych, Królewską Hutę i wnętrze Wielkiej Huty Żelaznej, Hajduki, Katowice i wiele innych mniejszych miast śląskich.

Dnia 27, 28 i 29 marca odbyły się dla młodzieży gimnazjalnej trzydniowe rekolekcje, udzielane przez ks. prof. Jana Wolnego. W pierwszym dniu ks. profesor wygłosił 2 nauki, jedną przed południem, drugą po południu. W drugim dniu została wygłoszona jedna nauka. W tym samym dniu po Mszy św. odbyła się spowiedź św. dla całej młodzieży. W trzecim dniu młodzież przystąpiła do komunji św. w kościele parafjalnym w Chrzanowie. Po komunji św. odbyło się wspólne śniadanie w kuchni studenckiej, która pod wytrawnym kierownictwem p. prof. K. Hedwika spełnia wielką rolę w dożywianiu bezpłatnie uboższej młodzieży.

We Wtorek dnia 10 kwietnia młodzież cała wzięła udział w religijnem przedstawieniu w sali „Sokoła“ p. t. „Nazarejczyk“, odegranem przez sekcję dramatyczną Tow. Gimnastycznego „Sokoła“.

W piątek dnia 21 kwietnia cała młodzież gimnazjalna wzięła udział w przedstawieniu w sali „Sokoła“ p. t. „Fircyk w zalotach“, komedji znakomitego polskiego komedjopisarza Franciszka Zabłockiego. Komedja ta, odegrana przez sekcję dramatyczną Tow. Gimn. „Sokoła“ cieszyła się wielkim uznaniem wśród młodzieży.

„Rada Gmin“ uchwaliła, ażeby uczniowie z klas wyższych, t. j. z klasy VII i VIII, mieli na każdej pauzie dyżury na podwórzu i korytarzach szkolnych. Uchwała ta jest bardzo ważna, ponieważ przyzwyczaja młodzież do obowiązku i przyszłej pracy dla państwa.

ORKIESTRA GIMNAZJALNA.

Długie są jej dzieje. Próba stworzenia własnej, szkolnej orkiestry była czyniona od kilku już lat. Plany jednak rozbijały się z powodu profesora śpiewu tutejszego Gimnazjum p. Bujaka, który mając do dyspozycji nowe, z wielkim nakładem kosztów zakupione, instrumenty muzyczne, robił coś, ale tak nieudolnie, że dotychczas jeszcze pokutują skutki jego pracy w tym kierunku.

Dopiero w obecnym roku szkolnym powstała wspaniała orkiestra szkolna, dzięki usilnym zabiegom p. Dyrektora St. Zbierskiego. Orkiestra ta liczy 24 członków z pośród uczniów. Kapelmistrzem jej jest niezmordowany w pracy p. Strauch. Opiekunem orkiestry ze strony „Rady Pedagogicznej“ jest p. prof. J. Gruszeczka, dzięki któremu orkiestra stała się prawdziwą chlubą Gimnazjum. Z ramienia „Komitetu Rodzicielskiego“ czuwa nad orkiestrą fundator wielu instrumentów muzycznych i wielki miłośnik naszego Gimnazjum, p. Dyrektor K. K. O. Kozłowski. Orkiestra bierze udział w każdej uroczystości państwowej i gimnazjalnej i cieszy się wśród młodzieży wielkiem i należytem uznaniem.

(T. St.)

Z PODRÓŻY DO WŁOCH.

(ciąg dalszy).

Odtąd jechaliśmy już wprost do Florencji. Popołudniu przyjemniej się zrobiło, bo chłodniej, gdyż wyjechaliśmy wkrótce w przedgórza apenińskie i zaczęliśmy się wznosić na wyżyny. Krajobraz staje się wprost zachwycający. Grzbiety górskie coraz to wyższe, aż wreszcie zaczynają się ukazywać śnieżne wierzchołki Apenin. Śnieg wśród takiego gorąca! Musi to być znacznie wyżej niż u nas.

Powietrze w pada do wagonu coraz wyborniejsze, pociąg biegnie coraz wolniej i pnie się stromo

w górę. Małe górskie stacyjki pewną powabu mają powierzchowność. Wszędzie tryskają fontanny, wszędzie perony i latarnie przystrojone pięknem kwieciem.

Zaprzyjaźniliśmy się z konduktorem, a choć ani słowa nie można się było z nim dogadać, przecież porozumiewaliśmy się na migi. Zacząłem się w tedy uczyć pierwszych słów włoskich, bo konduktor pokazując rozmaite przedmioty, wymawiał ich nazwy. Skąd mu to przyszło? Czy z nudów, czy z grzeczności, czy może z... patrjotyzmu? Poczęstowałem go resztkami tortów, które zabrałem z domu. Niezwykle mu smakowały, unosił się w podziękach — widocznie takich dobrych przysmaków tu nie jadają. Zwracał nam uwagę na góry i na rośliny rosnące na stokach. Najczęściej zdarzały się na zboczach całe zagony złotego kwiecia, które mój współtowarzysz nazywał kramarką, trafiały się tu i ówdzie rozrosłe kamelje, a w dolinkach cyprysy. Przelatywały ogrody na stokach z drzewami oliwnemi, gąszczem winogradu, który przerzuca się festonami po drzewach jedwabnych. Gdzieniegdzie ukazują się tuje, karminowe kwiaty oleandrów, tureckie sosny i drzewa figowe. Coraz wyżej! Powietrze coraz to zimniejsze wpada do wagonu, a czuć w niem woń przygrzanych słońcem, srebrzystych oliwek. Tunele częste i długie aż do znudzenia odbierają nam co chwila światło dzienne, nieustannie zatem palą się we wagonach lampki elektryczne. W każdym tunelu zamykam szybkę, bo powietrze jest tam cuchnące i wlatuje do wagonu razem z czadem maszyny. Tyle jest tych tuneli, jakby Włosi dla zabawki chcieli pokazać przejezdnym, że to nikt inny, tylko oni właśnie celują w ich budowie. Mnie to złości, bo czasem prześliczny krajobraz górski, któremu bym się dłużej przypatrywać pragnął, znika nagle, aby się już więcej nie pokazać, bo po przebyciu tunelu, całkiem inna już okolica.

Nakoniec osiągnęliśmy najwyżej położoną stację, skąd już mieliśmy się stoczyć na dół ku Florencji. Najwyższe wierzchołki i śniegi szczytowe widać stąd jak na dłoni i od nich to bije aż tu lodowaty dech, napełniający rozkoszą. Och tu żyć, zostać i nie ruszać się stąd nigdzie! Lecz pociąg nieczuły na hygienę i poetyczne zachwyty rusza natychmiast i coraz prędzej zbiega w doliny.

Z nagiej przełęczy, gdzie tylko dzikie róże rosły, wpadamy znów między rozkoszne sady i lasy drzew pielęgnowanych ręką ludzką. Pociąg mknie tak szybko, że wszystko miesza się w oczach i tworzy tylko we wspomnieniu barwną mozajkę z drzew, zbóż i chat, huczących, srebrnych potoków, wiszarów i ścian skalnych, kamiennych mostów na drogach i żelaznych na torze. Zbiegamy zboczami coraz niżej... aż w końcu hen w dolinie ukazuje się biała Florencja i srebrny Arno....

Zbudził mnie chłód ranny i ręka towarzysza podróży.

Uśmiechał się radośnie i wskazywał ręką w okno. Hen na widnokręgu błyszczała w słońcu kopuła świętego Piotra.

Dziwny urok Rzymu! Gdym wychodził z dworca zdawało mi się, że to rodzinne moje miasto i żem po długiej podróży przyjechał do domu!

U wyjścia z dworca znów to samo co we Wiedniu. Banda cała tragarzy, wysłańców hotelowych, przewodników i t. p., tym razem zachwalających się dźwięczną gardłową artykulacją. Opędziliśmy się im, nie mając funduszów odpowiednich na wytworniejsze hotele, ani na przewodników ani na tragarzy. Znużeni drogą dźwigając z trudem naładowane bielizną walizki, wsiedliśmy do tramwaju, mającego na tablicy wypisane „San Pietro".

Zwiedziliśmy ogrody papieskie w Watykanie, które mnie zachwyciły roślinami w tysiącach gatunków. Podobały mi się bardzo aleje wśród równo ściętych bukszpanów, stanowiących jakby zielone mury i ściany roślinne, wielka ilość fontan najrozmaitszej struktury fantastycznej: lwy, paszcze smocze, wyrzucały w górę, lub lały w dół smugi i smużki kryształowej wody. Gdzieniegdzie na różnobarwnych kobiercach egzotycznych kwiatów, strzelały ogromne palmy jakichby u nas uchować niepodobna. Spodziewałem się, że spotkam jeszcze gdzie papieża, przejeżdżającego się, lub przechadzającego w białej szacie po alejach. Ale nie ujrzałem więźnia watykańskiego w tej rozkosznej części jego więzienia. Potem przez kilka godzin obejrzeliśmy dokładnie kościół świętego Piotra. Nieopisane uczucie ogarniało mnie przy wchodzeniu do ogromnych bazylik. Jakaś przejmująca cześć religijna i przeniesienie się myślą do czasów pierwszych chrześcijan.

Do rozigrania fantazji dopomagały mi znakomicie wspomnienia przeczytanych książek, które treścią swą stykały się z Rzymem, i których osnowa tu się rozgrywała. Obok własnych rojeń stawały mi wyraźnie w pamięci twory wyobraźni obcej i starałem się je umieszczać w stosownych miejscach, na których się wylęgły. Najbardziej prześladowały mnie postacie sienkiewiczowskie. Spojrzę przechodząc ulicą w jaki dziedziniec kamienicy, gdzie zielenią się mirty i palmy, a wśrodku bije fontanna, już mi się zdaje, że lada chwila ujrzę Winicjusza, Krotona, Chilona, skradających się, otulonych w płaszcze, lub znowu ogromnego Ursusa z przewieszonem ciałem Krotona, wymykającego się ostrożnie ku Tybrowi. Nie! Po ulicach przelatują z trąbieniem i tyrczeniem i swędem samochody, dzwonią tramwaje, huczą dorożki, sunie się wytworna i niewytworna publiczność, a ja przecież czuję tu woń tamtych czasów! Wszędzie, wszędzie prześladują mnie tamte wizje. To Petronjusz wysiadający z lektyki i wstępujący do księgarni, a w ko-

ło owe tłumy różnojęzyczne, przechodzące oddziały pretorjanów, to Ahenobarbus rozbijający z niemi po nocach — to znów inny obraz — jak w cyrku patrzy przez szmaragd na krew z ran tryskającą — a tam gdzieś pod samem sklepieniem patrzy także starzec siwobrody św. Piotr. I tak ciągle mi się to snuje, że obiecałem sobie po powrocie do domu przeczytać jeszcze raz tę piękną książkę.

Wieczorem tego dnia poszedłem sam podumać na ruinach starego Rzymu. Piękna to była noc! Księżyc był prawie w pełni, oświecał jasno forum i amfiteatr, dopomagając rzadkim latarniom naftowym, które paliły się nędznym, mdłym blaskiem — jakby na urągowisko dawnej wielkości i w kontraście do opodal huczącego, oświetlonego elektrycznością nowego Rzymu, były symbolem martwoty i poniżenia. Spokojnie tutaj i pusto! Czasem tylko przechodzą postacie zwiedzających, lecz nie wielu ich o tej porze. Kolumny, łuki, ruiny świątyń, colosseum—wszystko w poświacie miesięcznej dziwnie białe i czarujące jak kraj jakiś z baśni, jak coś, co dawniej pławiło się w blaskach słonecznych, a teraz zbladło w odległych wspomnieniach, otuliło się w śmiertelny całun i w marnem, nieswojem świetle księżyca odpoczywa jak dawniej w słońcu. Wszedłem w ogromny gmach amfiteatru i usiadłem na zwalonej kolumnie. Najpierw przyszły mi myśli dosyć powszednie — a mianowicie, że ładnie i romantycznie muszę wyglądać w takiej pozie, że w tak młodym wieku jestem tutaj, gdzie tylu wielkich ludzi dumało, zacząłem ich wszystkich przywodzić na pamięć i wzbiłem się w dumę zapominając o tem, że na to może sobie pozwolić lada urwipełć rzymski, gdyby tylko widział dla siebie przyjemność w siedzeniu w pustkach nocną porą.

Potem jednak zwyciężył urok otoczenia i nadleciały wizje, potem wizje fantazyjne, a te były daleko wyraźniejsze, bo lepiej uplastycznione mocą talentów twórczych i dopełnione siłami wyobraźni własnej. I tak mieszało się to w mózgu wszystko razem. Patrzałem w arenę i widziałem całe tłumy tych postaci, które znikały za lada przelotem nietoperza, trzepoczącego kosmatemi skrzydłami w szczelinie, bo ten marny objaw życia wracał myśl do rzeczywistości i spędzał mary dawnej potężnej siły życiowej. Czasem wznosiłem oczy wysoko na galerje pięter poza któremi gdzieś z parku czy ogrodu, na wzgórzach stały gdzieniegdzie czarne pinie, jak widzowie amfiteatru.

Coś pusto dzisiaj na widowiskach, widzów mało bo tylko ja, księżyc i pinie, czyżby się mieli ukazać aktorzy? Wyszli na arenę ale tylko w głębi duszy i stanęli przed jej oczyma, lecz znikają za lada szelestem żyjącego świata.

Zbyt słaba trwałość zagrobowych tworów,
Żywy nietoperz spędza gladjatorów!

Rzym stary śpi na wieki... a w amfiteatrze ja i księżyc i czarne pinie patrzymy na arenę, a prócz nas w tej chwili nikt więcej...

W powietrzu woń ruin i ziemi. która ongiś nieraz nasiąkła krwią...

Szyderczy śmiech huczy mi w głębi duszy...

Zdaje mi się, że na to tylko poszło tyle trudów i poświęceń, na to tylko przelewano krew i bawiono się tutaj okrutnie — abym ja samotny widz przez chwil parę to rozważał i zaśmiał się po wiekach nad znikomością i głupią igraszką życia.....

Po wiekach śmiać się będą znów inni, na to tylko, aby się z kolei z nich śmiano — a cień mój jeśli się zjawi w czyjej wyobraźni, zmykał będzie przed żywym nietoperzem, jak dziś umarli Rzymianie..

Około drugiej popołudniu wyszliśmy z domu; mieliśmy spory kęs drogi przed sobą, bo zamiarem naszym było zwiedzenie trzech źródeł, które wytrysły na miejscu ścięcia świętego Pawła, a miejsce to jest poza miastem. Powietrze było odświeżone deszczem, który co dopiero ustał padać, szliśmy z początku szybko raz szerokiemi rojnemi, pięknemi ulicami, to znowu wąskimi przesmykami — zaukami, gdzie atmosfera była przesycona odorem smażonej oliwy. Wychodził ten zapach najczęściej z lichych restauracyjek, wydostając się z łatwością na wolne powietrze przez barwne kotary z trzcin. Wszędzie na placach mniejszych i większych biły piękne i orzeźwiające wodotryski. Zgiełk nieopisany, bo wszędzie oprócz turkotu pojazdów i gwaru rozmów także gwar zmieszanych, śpiewających głosów. Wszystko tutaj śpiewa! Lada nędzarz w łachmanach wołających o pomstę do nieba idzie ulicą i nuci głosem gardłowem wcale pięknie i dźwięcznie zgoła nie przypominając naszych baranogłosych dziadów. Nucą chłopcy roznoszący gazety, robotnicy, eleganci, przejeżdżający fijakrzy, którzy mają cylindry na głowach i... rzymskie prawdziwe twarze. Nuta jednak u wszystkich dosyć jednostajna, obfita w słowa i w raźnem tępie śpiewana. Kupiłem garść moreli dla orzeźwienia się i... zaspokojenia głodu, bo obok wina i chleba ze smakiem macy żydowskiej, owoce były głównem mojem pożywieniem. To samo i mój towarzysz. Łączył nas w tym względzie wstręt do potraw robionych na oliwie. —

Dotarliśmy na obszerny plac przed bazyliką św. Jana Laterańskiego, którą już zwiedzaliśmy dwa dni temu. Jest to już w pobliżu starożytnych murów dawnego Rzymu, poza którymi zaczynają się przedmieścia, ogrody i pola. Szeroki stąd widok otwiera się na Kampanię i góry Albańskie. Góry stąd widziane mają odcień fioletowy, który jednak inaczej jak u nas, bardziej zbliża się do barwy niebieskiej, jak ciemnej lub sinej. I tak się tu wszystkie góry przedstawiają z oddali. Znowu na ten widok wizja pięknego obrazu sienkiewiczowskiego. Oto idą wśród kampań-

skiej równiny, stukając drewnianemi postołami po kamienistej drodze dwie postacie: św. Piotr i Nazarjusz. Kierują się ku górom — a nad górami czyni się świt bladozielony a potem słońce staje na przełęczy, lecz nie idzie wyżej tylko toczy się ku nim...

Mocno świecą w popołudniowem słońcu wieczne śniegi na najwyższych szczytach, a pod nimi bieleleje klasztor Benedyktynów na Monte Casino. Rześwy wiatr od gór, przelatując nad całą Kampanią, zapędza się aż tu pod bazylikę, szumi melodyjnie w sosnach, rosnących tuż przy starożytnych murach i roznosi w powietrzu jakąś halną woń.....

Wyszliśmy poza mury i zaczęliśmy iść jakąś okrężną drogą, mając z jednej strony ogrody lub samotne domostwa, z drugiej mury obrośnięte roślinnością lub baraki robotnicze przypierające do murów.— Mur — pomnik dawnej wielkości zarasta chwastem i przytula się doń nędza!

Na taki widok przywodziłem na pamięć szekspirowskie piosnki z Hamleta:

„Potężny cezar przemienił się w glinę,
Którą od wiatru chłop zatkał szczelinę.
Zatrząsłszy światem pójść na polep chaty
Toż kres wielkości, toż los potentaty?.

Długo trwała okrężna droga. Przypatrywałem się wszystkiemu, bo nawet najnędzniejszy kwiatek, rosnący u stóp murów był dla mnie nowością. A były tam kwiatki jakieś czerwone, jakby nasze maki, niebieskie, fioletowe i w najrozmaitszych kolorach, a wszystkie nieznane — i dziś niewiem jak się nazywają te polne kwiatki włoskie.

Potem odstrzeliliśmy się od murów jeszcze dalej poza miasto na jakąś dosyś szeroką drogę. Minęliśmy kościół św. Pawła i po jakich 20 minutach drogi doszliśmy do pięknego lasu eukaliptusów, wśród których znajduje się klasztorek, mieszczący w sobie owe trzy źródła. Oprowadził nas zakonnik. Próbowaliśmy wody, która w każdem źródle ma być inna. Z powrotem nazbierałem sobie dziwnych owoców spadłych z drzew gumowych. Z owoców tych robią podobno różańce. Gdyśmy wyszli, słońce już kłoniło się ku zachodowi, zupełnie tak jak wtedy, gdy kładł tutaj głowę pod miecz ów utrudzony pracownik Boży....

Wróciliśmy do domu wieczorem. Sycyljanka przywitała nas, śmiejąc się i krzycząc jak papuga „dzień dobry“ Nie mając jeszcze ochoty iść spać, wyszedłem na plac przed kościół św. Piotra— bo mieszkaliśmy tuż — przypatrywałem się bazylice wśród świateł elektrycznych lamp łukowych, z kolei patrzałem na obeliski grające w światłach fontanny, nakoniec zacząłem przechadzać się po portykach, robiąc „obowiazkowe tysiąc kroków“, aby mnie tem łatwiej mógł potem ukoić dobroczynny Hipnos.....

KOŁA GIMNAZJALNE.

SPRAWOZDANIE
z działalności Koła Krajoznawczego im. Wincentego Pola Państwowego gimnazjum w Chrzanowie.

Z nowym rokiem szkolnym 1932/33 zaczęło nasze Koło na terenie gimnazjum jedenasty rok pracy.

Na pierwszem Walnem Zebraniu ukonstytuował się nowy Zarząd Koła w następującym składzie: prezes; Staich Tadeusz VII a, wice-prezes: Smółka Bronisław VII b, sekretarz: Warzecha Gerhard V b, skarbnik: Zdybiewski Roman VI a, bibljotekarz: Siekierzyński Antoni V a, kierownik sekcji fotograficznej: Sass Juljusz VIII a, kierownik sekcji muzealnej: Krejza Antoni kl. VI, kierownikiem sekcji wycieczkowej, organizatorem i przewodnikiem wycieczek, jest opiekun Koła p. prof. Józef Gruszeczka, dzięki któremu przez lat jedenaście Koło tak pięknie się rozwija.

Czynny udział w tej sekcji bierze uczeń Smółka Bronisław, który z czasem obejmie kierownictwo tejże sekcji.

Od początku roku odbyły się cztery Walne Zebrania a dwa posiedzenia Zarządu. Ze względu na to, iż w czerwcu b. r. odbędzie się w Bydgoszczy Walny Zjazd Młodzieży Kół Krajoznawczych, w którym nasze Koło weźmie udział, — Kol. Smółka Bronisław VII b, wygłosił na drugiem Walnem Zebraniu referat p. t. „Toruń“. W przygotowaniu referat o Pomorzu.

Opiekun p. prof. Gruszeczka kontynuuje w czwartki cykl odczytów p. t. „Wrażenia z wycieczki do fjordów Norwegskich i Przylądka Północnego, ilustrowane obrazami świetlnemi. Odczyty te cieszą się liczną frekwencją uczniów z poza członków Koła.

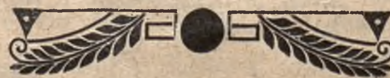
Z końcem maja b. r. Koło urządzi uroczysty poranek w związku z jedenastoleciem istnienia.

We wrześniu przyszłego roku szkolnego, ma odbyć się wycieczka do Wiednia w związku z uroczystościami obchodu rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Ponieważ koszta będą stosunkowo bardzo małe, spodziewane są liczne zgłoszenia.

Koło posiada własną szafę, aparat fotograficzny obecnie tworzy własną bibljotekę, oraz muzeum regjonalne.

Opłata członkowska wynosi miesięcznie 10 gr. Wpisujcie się jaknajliczniej w poczet członków Kółka. Wpisy przyjmuje kol. Zdybiewski kl. VI.

T. S.



KOŁO SPORTOWE.

Dnia 9. III. odbyło się Walne Zebranie Koła Sportowego, na którem w miejsce ustępującego zarządu wybrano nowy, a mianowicie: prezesem wybrany został kol. Lorenc Zdzisław, VIII a wiceprezesem kol. Oczkowski Ludwik VIII a, skarbnikiem kol. Ryś Władysław VIII b, sekretarzem kol. Pajor Jerzy VII b, gospodarzem kol. Tada Marjan VIII b, członkiem zarządu kol. Bobak Bronisław VIII b.

W tymże Kółku istnieją poszczególne sekcje jak, narciarska, hockejowa, lekkoatletyczna, tenisowa, kolarska jako też sekcje gier sportowych koszykówki i siatkówki. Ponieważ dewizą Kółka jest „w zdrowym ciele zdrowy duch" a zatem i przyszłość ojczyzny, zapisujcie się więc na jego członków.



Do źródeł Popradu.

(ciąg dalszy).

Dunajec zanim ma wpaść w Pieniny wstrzymuje swe wody i zbiera siłę, jak dobry strategik przed walną bitwą. Następnie nabiera on wielkiego rozpędu wpada rwący, dziki, między skały, które swymi prostopadłemi ścianami opierają się o łożysko jego. Dunajec chcąc je rozdzielić rzuca się z szałem na wszystkie strony, stara się je rozbić, zniszczyć, co mu też częściowo się już udało. Jego to dziełem te strome gładkie ściany, które niegdyś tworzyły całość a które on rozdzielił na wieki. Dunajec chcąc im tę rozłąkę uprzyjemnić i zrobić ją znaczniejszą poszczerbił i przystroił cudnie. Tak, że skały nie mają smutnego wyglądu są raczej wesołe. A przynajmniej są zrezygnowane, zgadzają się na wszystko obojętnie.

Jednak dawniejsza nienawiść rzeki do skał, zmieniła się w miłość.

Dunajec pokochał bardzo te urwiska, niechce za nic ich opuścić, stara się otoczyć, potężnemi swemi ramionami, wciska się w nie i czepia ich stóp. Chce wszelkiemi sposobami uniknąć rozstania się z niemi, tworzy przezto szalone zakręty. Nadrabia drogi.

Chwilami zdaje się, że marzenia jego urzeczywistniły się. Bo oto nagle skała zagradza bieg rzeki.

Płynącym zdaje się, że jeszcze chwila a będą musieli „wylądować" na niej, widzą że niema żadnego wyjścia.

A jednak w ostatniej minucie ukazuje się wyrwa między dwiema górami i w nią wpada Dunajec huczący.

Jest to oznaka, że góry czują ciągle urazę do niego za swą krzywdę i nie starają się zatrzymać go przy sobie.

Jego nie opuszcza, pomimo wszystko, nadzieja. Swemi falami obmywa stopy, niewzruszonych olbrzymów. Błaga o przebaczenie, płacze miljonami kropli, rozbitych o twarde podnóża, niczem niedających się przebłagać skał.

c. d. n.

P. V a.

Kącik językowy.

IV Lekcja angielskiego.

The spring.

It is spring. Do you like the spring? Yes, I like it. It is a beautiful season. I see four birds. They fly very high. Do you see these birds? Yes, they fly so high and so merry. Tkey thank God for the spring and for the life. They are joyful and they sing. And you, do you also thank God for your life and for so beautiful spring? Do you sing God your song? Everybody is joyful, that the spring comes. The winter is fine, but the spring is beautiful.

Words (uörds) = słówka

the spring (spryng) = wiosna
beautiful (bjutiful) = piękny
the season (sijzn) = pora roku
the bird (berd) = ptak
to fly (flaj) = latać
high (haj) = wysoko, i
these (dijs) = ci, te
so (sou) = tak
merry (meri) = wesoło, y
God (god) = Bóg
for (for) = za, dla
the life (lajf) = życie
joyful (dżojful) = radosny
to sing (syng) = śpiewać
the song (sang) = pieśń
everybody (éwrybody) = każdy
that (det) = że
to come (koum) = przyjść
but (bat) = lecz

Ćwiczenie 1.

(Przetłómaczyć na angielskie).

Piszę angielskie zadanie. Cieszę się, że wiosna przychodzi. Czy widzisz te domy? Tak, widzę trzy domy. Czy lubisz ptaki? Tak, lubię ptaki. Ptaki śpiewają i latają. Jesteś wesoły, śpiewasz. Lubię śpiewać. Wiosna jest piękna.

Michał Bryniowski VII b.



KĄCIK FOTOGRAFICZNY.

I. OBJEKTYW.

Najprostszą formą objektywu jest zwykłe szkło powiększające t. j. okrągły kawałek czystego szkła, przynajmniej z jednej strony wypukło oszlifowany, a z drugiej albo płaski, albo wypukły, albo wklęsły. Takich soczewek używa się do okularòw (dla dalekowidzów) i lornetek teatralnych.

1). OGNISKOWA.

Każda z wyżej wymienionych soczewek, ma tę własność, że tak samo jak ów otworek w skrzynce rzuca na matówkę obraz znajdujących się przed nią przedmiotów. Jeżeli wstawimy taką soczewkę pod słońce, otrzymamy pod spodem mały obraz tarczy słonecznej, który w pewnej określonej odległości, będzie najmniejszy i najwyraźniejszy; punkt ten nazywa się ogniskiem (fokus) a jego odległość od soczewki — ogniskową (zupełnie niesłusznie nazywana fokus, skr. F.). Ogniskowa jest dla podobnych soczewek, w tych samych warunkach zawsze ta sama.

Określić ją można w sposòb niezbyt dokładny, ale w praktyce wystarczający, następująco: na ścianie, znajdującej się naprzeciwko okna, przypinamy arkusz białego papieru, ujmujemy soczewkę w dwa palce i kierujemy tak, aby na papierze otrzymać ostry, wyraźny obraz ramy okiennej, albo lepiej n. p. domów, znajdujących się za oknem. Mierzymy odległość soczewki od papieru, która normalnie waha się od 10—30 cm. i która jest właśnie szukaną ogniskową.

Jeżeli jednak skierujemy tą samą soczewkę na bliżej leżące źródło światła n. p. na lampę, obraz powstanie w odległości większej niż ogniskowa i musimy matówkę, względnie papier nieco odsunąć, aby otrzymać ostry obraz.

Gdy soczewka ma n. p. ogniskową 15 cm. to w odległości 15 cm. powstanie ostry obraz, dosyć odległego przedmiotu (ponad 200 m.), na który jest skierowana soczewka, obrazy bliższych przedmiotów będą leżały między 15 a 30 cm. przy odległości (soczewki od matówki) wynoszącej 30 cm. obraz będzie miał dokładnie wielkość naturalną; przy zdjęciach wchodzi w rachubę tylko odległóść od 15—30 cm, ponad 30 cm. używa się tylko do powiększania.

Przy tych doświadczeniach, zamiast trzymać soczewkę w ręce, lepiej jest zmieścić ją w okrągłym otworze dużego arkusza tektury (około 1x1 m.]; tektura ta, ocienia dostatecznie papier na ścianie i obraz wychodzi o wiele jaśniej, a więc i wyraźniej.

c. d. n.

R. S. Warszawa.